Kolejna próba

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

mnianych czynników, tj. wymogów formalnych, merytorycznych, atmosfery i akceptacji społecznej.

REFERENDUM — CZY I JAKIE?

Jednym z politycznych aspektów uchwalenia nowej konstytucji jest odżywający wciąż problem referendum. Polityczna ocena instytucji referendum w procesie stanowienia konstytucji uległa dość istotnej ewolucji, w zależności od zmian układu rządzącego. Jest ona ściśle związana ze sprawą legitymizacji parlamentu. Im mniej legitymowany jest parlament, tym silniejsze są naciski, by umożliwić społeczeństwu wyrażenie stanowiska w drodze głosowania powszechnego. Stąd też — być może — najsilniej podkreślano rolę referendum przed 1989 r. Po wyborach czerwcowych stanowisko ugrupowań będących przedtem w opozycji uległo zmianie. W toku dyskusji parlamentarnej — mimo zarysowującej się stopniowo tendencji do odmawiania „kontraktowemu" sejmowi prawa uchwalania nowej konstytucji — argumentowano bardzo silnie przeciwko referendum, uzasadniając to między innymi:

1. reprezentacją całego przekroju społecznego w parlamencie;
2. niemożnością precyzyjnego skonkretyzowania pytań;
3. nieprzystosowaniem społeczeństwa do udziału w procedurach w pełni demokratycznych, a nie sterowanych odgórnie.

Równie negatywnie oceniano pomysł referendum w parlamencie wybranym w 1991 r. Mimo to w ustawie o trybie przygotowywania konstytucji przewidziano, że projekt przyjęty przez Zgromadzenie Narodowe musi uzyskać akceptację społeczną w drodze obligatoryjnego referendum. I to referendum ma moc stanowiącą.

Oczywiście można zgodzić się, że referendum, choć jest procedurą demokratyczną, to bardzo uprasza zagadnienie będące jego przedmiotem. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: skoro mamy do czynienia z parlamentem wybranym wprawdzie w wolnych wyborach i formalnie legitymowanym, ale zarazem takim, w którym prawie połowa społeczeństwa nie jest reprezentowana, to czy instytucja referendum nie staje się niezbędną formą legitymizowania procesu stanowienia konstytucji? Referendum byłoby tu aktem ostatecznym, już po decyzji Zgromadzenia Narodowego.

Partie rządzące: SLD i PSL, przy poparciu kilku tylko posłów z innych ugrupowań (np. Unii Pracy) zdolne są do dokonania wszelkich zmian o charakterze konstytucyjnym. Dysponują kwalifikowaną większością głosów. W parlamencie zgłoszono już nową inicjatywę ustawodawczą, dotyczącą zmiany ustawy z 1992 r. o trybie przygotowania i uchwalenia konstytucji RP. Znalazły się tu dwa istotne, nowe elementy. Po pierwsze: projekt przewiduje referendum w sprawach dotyczących podstawowych zasad ustroju państwa jako referendum poprzedzające zasadnicze prace parlamentarne nad konstytucją. Po drugie: usuwa instytucję referendum zatwierdzającego. Rozwiązanie to w obecnej sytuacji ocenić należy niezwykle krytycznie i źle by się stało, gdyby partie rządzące doprowadziły do jego przyjęcia. Wydaje się, że w procesie uchwalania konstytucji jedynie forma referendum zatwierdzającego winna być stosowana.

JAKI PREZYDENT?

Innym przykładem sporu merytorycznego będącego w istocie dyskusją polityczną jest spór o rolę głowy państwa w polskim systemie konstytucyjnym. Ewolucja stanowisk poszczególnych partii politycznych wskazuje na wyraźną zależność tych stanowisk od oceny konkretnej osoby.

Względy personalne odgrywały istotną rolę w polskich dyskusjach nad konstytucją już w okresie międzywojennym. Uprawnienia prezydenta w konstytucji z 1921 r. starano się ująć bardzo wąsko, bowiem przygotowywano ją przeciwko Piłsudskiemu. W 1935 r. uprawnienia te ujęto szeroko, bowiem konstytucję pisano tym razem dla Piłsudskiego. Można powiedzieć, że sytuacja się powtarza: dziś na opinię poszczególnych partii w kwestii zakresu uprawnień prezydenta wpływ mają nie tylko generalne oceny dotyczące celowości czy efektywności systemu prezydenckiego czy półprezydenckiego, ale właśnie stosunek do osoby Lecha Wałęsy. Pewien wpływ ma też ocena skuteczności kolejnych parlamentów wybranych po 1989 r.

Zmieniający się kontekst polityczny spowodował bardzo znamienną i szybką ewolucję poglądów w kwestii roli prezydenta. Przywracając tę instytucję w wyniku nowelizacji konstytucji w kwietniu 1989 r. ukształtowano ją na wzór konstytucji marcowej z 1921 r., tzn. wkomponowano w tradycyjny system parlamentarno-gabinetowy, przewidując wybór prezydenta przez obie izby parlamentu połączone w Zgromadzenie Narodowe. Rozwiązanie to przyjęto z dwóch co najmniej względów.

Pierwszym — raczej drugorzędnym — było przekonanie, że taka jest właśnie polska tradycja, a społeczeństwo jest do niej przyzwyczajone. Wzgląd drugi i ważniejszy, to ten, że prezydent miał stanowić polityczny równoważnik dla demokratycznie wybranego Senatu. Zakładano, że w wyniku ustaleń „okrągłego stołu" prezydentem zostanie przedstawiciel PZPR. Jego pozycja zatem nie powinna być zbyt silna, ale powinien równocześnie posiadać takie uprawnienia, które pozwolą zrównoważyć decyzje w większości solidarnościowego — jak słusznie zakładano — Senatu.

Od 1990 r. coraz głośniej domagano się zmiany na stanowisku prezydenta. Równocześnie zaczęto kwestionować legitymizację parlamentu z 1989 r., do dokonywania zasadniczych aktów konstytucyjnych, dlatego coraz powszechniej wyrażano potrzebę wprowadzenia powszechnych wyborów prezydenckich. Uważano, że prezydent wybrany bezpośrednio przez naród będzie miał większą legitymizację w stosunku do kontrakcyjnego parlamentu. I choć instytucja powszechnych wyborów prezydenckich była polskiej tradycji nieznana, przyjęto nową ordynację, według której w listopadzie 1990 r. prezydentem RP został Lech Wałęsa. Logiczną konsekwencją wyboru prezydenta przez naród była konieczność poszerzenia jego uprawnień. Wokół tego problemu rozgorzał spór polityczny, dotyczący bardziej personaliów niż modelu układu parlament–prezydent–rząd.

Już w pierwszych tygodniach istnienia parlamentu wybranego w 1991 r. prezydent skierował do niego projekt tzw. „małej konstytucji", wyraźnie przesuwający polityczny środek ciężkości z parlamentu do urzędu prezydenta. Projekt ten spotkał się z generalną dezaprobatą posłów; i w wyniku wprowadzenia do niego wielu poprawek zasadniczo zmieniających jego istotę, został przez prezydenta wycofany. W lutym 1992 r. kolejny projekt „małej konstytucji" wniosła do Komisji Nadzwyczajnej Sejmu Unia Demokratyczna. Przewidywano w nim wzmocnienie władzy prezydenckiej, włącznie z prawem prezydenta do powoływania rządu, a nie tylko desygnowania kandydata na premiera. Projekt ten stał się w Komisji przedmiotem długiej, politycznej dyskusji. I co charakterystyczne, te partie, które w wyborach prezydenckich skoncentrowane były wokół Lecha Wałęsy, obecnie najmocniej protestowały przeciwko poszerzaniu zakresu prezydenckich uprawnień.

„Mała konstytucja" została ostatecznie uchwalona. W przekonaniu przeciwników silnej prezydentury daje ona prezydentowi zbyt daleko idące uprawnienia. W przekonaniu prezydenta są one zbyt małe, zanadto ograniczają jego swobodę działania i nie równoważą pozycji prezydenta i parlamentu.

Dyskusja nad kształtem prezydentury nie jest zakończona. Nie można wykluczyć podjęcia jeszcze jednej próby ograniczenia uprawnień prezydenckich, chociaż jak sądzę — nie leży to, przynajmniej na razie, w interesie partii rządzących. Za dwa lata mają odbyć się wybory prezydenckie i będzie to zapewne istotny czynnik praktyczny, wpływający na dalszą dyskusję o kształcie przyszłej prezydentury, ale nie uwolni od dociekań o charakterze personalnym — dla kogo się te nowe rozwiązania szykuje. Dyskusja znów zdominowana zostanie aspektami praktycznymi, nie zaś tylko merytorycznymi, wywodzącymi się z rzetelnej oceny pozytywów i negatywów systemu prezydencko-parlamentarnego w polskiej rzeczywistości.

PAŃSTWO–KOŚCIÓŁ

Ważnym wyznacznikiem dyskusji dotyczącej zasad ustrojowych przyszłej konstytucji był i będzie problem stosunku państwa do Kościoła. Problem ten podejmowano dotąd w sposób niezwykle emocjonalny. Najwięcej emocji wzbudza kwestia określenia charakteru państwa i wzajemnych relacji między obiema wspólnotami. Oś dyskusji dotyczy rozumienia pojęcia rozdziału Kościoła od państwa. Pojęcie to używane było we wszystkich dokumentach okresu państwa socjalistycznego i w odbiorze dużej części społeczeństwa kojarzy się z próbami izolowania Kościoła. Słowo „rozdział" nie jest zresztą najbardziej uzasadnione w sytuacji, kiedy jednostka ludzka jest członkiem obu tych wspólnot jednocześnie.

Rozwiązaniem, pozwalającym uniknąć obu negatywnych aspektów, powinno być sformułowanie zaczerpnięte z konstytucji włoskiej i użyte w podpisanym między Polską a Watykanem konkordacie. Stwierdza ono, że Kościół i państwo są, każde w swej dziedzinie, niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju człowieka i dobra wspólnego. Można jednak przypuszczać, że ten problem będzie nadal dzielił scenę polityczną, a dyskusja wokół słowa „rozdział" stanowić będzie dość istotny polityczny kontekst nowej konstytucji.

★

Nad kolejną próbą przygotowania nowej konstytucji ciążyć będą te same dylematy, które ciążyły nad pracami konstytucyjnymi w minionych latach. Dochodzą do nich dylematy inne, nie mające już tylko politycznego charakteru:

1. czy konstytucja ma być programowa (dająca wyraz pewnej określonej postawie filozoficznej), czy też pragmatyczna (dotycząca głównie mechanizmu rządzenia);
2. relewantna (regulująca istotne składniki mechanizmu politycznego) czy rytualna;
3. normatywna czy raczej symboliczna;
4. otwarta (zakładająca duże pole możliwych zmian w związku z dynamiką prawa konstytucyjnego) czy zamknięta.

To, czy kolejna próba uchwalenia nowej konstytucji się uda, zależeć będzie od zdolności parlamentu do szukania kompromisu i wypracowania takiego aktu, który nie ograniczy się tylko do jednej, dominującej w parlamencie opcji, a także od umiejętności współdziałania z prezydentem. Zależeć będzie także od tego, czy społeczeństwo zechce zaakceptować prace parlamentu i udzielić poparcia dla opracowanego w ich trakcie aktu. Jeśli bowiem wytworzy ono atmosferę nie sprzyjającą przyjęciu nowej konstytucji, wówczas trzeba będzie jeszcze raz poczekać.

HANNA SUCHOCKA

Moskiewskie obrazki

GRZEGORZ PRZEBINDA

Od sytuacji ekonomicznej w Rosji w ciągu najbliższych dwóch lat zależy, czy narody Federacji wybiorą Jelcyna na prezydenta na następną czteroletnią kadencję. Z dzisiejszego punktu widzenia jest bardzo możliwe, że Jelcyn będzie pełnił swój urząd aż do 2000 roku. Jeżeli ktokolwiek mu w tym przeszkodzi, to na pewno nie Żyrynowski, który tak bardzo chce być prezydentem, że na pewno nim nie będzie.

ZA CO ONI ŻYJĄ?

Rosja w ciągu ostatniego roku znacznie przybliżyła się do Europy przynajmniej gdy chodzi o ceny na moskiewskim rynku. Przeciętna emerytura wynosi 50 tys. rubli (30 dol.), przeciętna płaca niecałe 100 tys. (60 dol.). Przeto płace są trzykrotnie niższe aniżeli polskie, tymczasem ceny w moskiewskich sklepach przypominają nasze, krakowskie. Cena chleba dochodzi do 400 rubli (5 tys. zł), litr mleka kosztuje 500 rubli (6 tys. zł). Masło solone sprzedawane jest po 2,5 tys. rubli za kilogram (35 tys. zł), za kiepską kiełbasę trzeba zapłacić 5 tys. rubli (70 tys. zł), za szynkę i węgierskie salami nawet 15 tysięcy (210 tys. zł). A cytryny kosztują dwa razy tyle co w Polsce, czyli 40 tys. złotych. Tańsze są na przykład jaja, gdyż jedno, mafutkie co prawda i białe, kosztuje 2 tys. zł, jednak wiele podstawowych produktów, kosztuje w Moskwie drożej aniżeli w Krakowie: biały i żółty ser, kawa: woda mineralna, ryby, pomarańcze i mandarynki.

Zatłoczony Dragomiłowski Rynek obok dworca Kijowskiego to dzisiaj rosyjsko-ukraińskie centrum handlowe. Ukraińcy przywożą tu w torbach szynkę, kiełbasę, sery, śmietanę, owoce, kaszę, ziemniaki, odzież, a nawet dywany i krzesła. Sprzedają to wszystko trzy razy taniej w stosunku do cen obowiązujących w Moskwie, zamieniają ruble na dolary i wyjeżdzają do Kijowa, aby wkrótce znów tutaj powrócić. W czasach wielkiego głodu na Ukrainie w okresie kolektywizacji rolnictwa tłumy jej mieszkańców próbowały uciekać do Moskwy, aby w mieście szukać chleba. Zawracano ich wtedy bezwzględnie na Dworzec Kijowski i odprawiano pociągiem z powrotem. Wtedy mieszkańcy Moskwy myśleli, że tak trzeba, ze względu na higienę sanitarną. Dzisiaj potomkowie tamtych moskwian, szczególnie ci biedni, witają braci z Ukrainy z otwartymi ramionami, kupując u nich za pół ceny soczystą szynkę i gęstą śmietanę.

Ale przecież nie cała Moskwa kupuje dzisiaj żywność na Dworcu Kijowskim, powstaje zatem pytanie, skąd ludzie biorą środki na przeżycie, skoro wszystko jest tak niesłychanie drogie? Odpowiedź znów jest racjonalna: w Moskwie nic albo prawie nic nie kosztuje mieszkanie, gaz, lokalny telefon, prąd. Za wszystko to właścicielka 60-metrowego mieszkania na Arbacie płaci jednego dolara. Skoro tak, to ogólny poziom życia w Moskwie jest nie trzy, lecz dwa razy niższy aniżeli w Krakowie. Nadto ludzie, gdy nie mają pieniędzy na mięso, żywią się chlebem, mlekiem, racuchami, kaszą i kefirem. Głodu w Moskwie nie ma, chociaż można spotkać ludzi żywiących się wyłącznie chlebem i mlekiem. Bezdomnych też jest zapewne więcej aniżeli w europejskich metropoliach. Zamieniłem dwa słowa z jednym z nich, zartował sobie słowami piosenki: „*Moj adries nie dom i nie ulica, moj adries Sowietskij Sojuz*". Dla niego nic się nie zmieniło.

Ukrócony został handel na Arbacie. Nie ma już tam, jak rok temu, młodzieńców handlujących takim oto zestawem *matrioszek*: Hitler, Lenin, Stalin, Saddam, Mao, Pinochet. U wylotu ulicy, od strony Placu Smoleńskiego, ma od niedawna swą siedzibę MacDonald. Ceny w nim są bardzo wysokie, a mimo to w niedzielę trzeba odstać w kolejce na zimnie, zanim człowiek otrzyma upragnionego *pamburgiera* albo *kartofiel-fri*. Na chyba, że kogoś stać na „*kompleksnyj obied s «Big Makom»*". A na domiar szczęścia, jak informuje rozdawana w metrze ulotka, „*w mieniu restoranow «Makdonalds» pojawiłsa kofie*".

Wieczorem Arbat, zamknięty z jednej strony restauracją Praga, a z drugiej MacDonaldem, jest pusty. Można wtedy spokojnie przejść ów jeden kilometr Rosji, spojrzeć na domy, w których mieszkali Puszkin, Chomiakow, Błok, Biały, Okudżawa. Na podwórku domu numer 43 do tej pory rosną drzewa posadzone ręką Okudżawy, on sam wyprowadził się stąd w roku 1940. Wieczorny spacer po Arbacie przywołuje w człowieku także inne obrazy: średniowieczne wielojęzyczne kupieckie karawany ciągnące tędy do Kitaj-gorodu, zastępy mongolsko-tatarskie idące w 1493 roku na Kreml, pochód pułku kniazia Dymitra Pożarskiego z 1612 roku i jego zwycięstwo nad wojskami hetmana Chodkiewicza. Wcześniej na Arbacie miała swą siedzibę groźna *oprycznina* cara Iwana IV. A w naszych już czasach gnikał po nim do swej willi w Kuncewo śmiertelnie urlopowany Józef Stalin. O tym jednak niewielu dziś pamięta.

ZASTRZELENI Z BLISKA

Artykuł 8 nowej rosyjskiej Konstytucji mówi: „*W Federacji Rosyjskiej zagwarantowana jest jedność ekonomicznej przestrzeni, swobodne przemieszczanie towarów, usług i środków finansowych, poparcie konkurencji, wolność ekonomicznej działalności*". Konkurencja... jak to łatwo powiedzieć. Dzisiaj rolę komunistycznego państwa w gospodarce zajęła gospodarcza mafia. Zapewne w przyszłości jakiś inteligentny apostata opisze jej struktury. Będzie się tę książkę czytać z zapartym tchem i przerażeniem. I udowodni ona, że w gospodarce nigdy nie dzieje się nic mistycznego, a wszystko ma racjonalne przyczyny. Na razie mafia kieruje się zasadą, że lepiej sprzedać mniej, a drożej. Dlatego *dieuszka* w metrze, sprzedając róże po 1500 rubli, będzie większość czasu patrzeć w sufit, zawsze przecież znajdzie się potrzebujący, a może nawet dziesięciu, którzy kwiatek kupią. W Moskwie nie obowiązuje zasada szybkiego obrotu pieniądzem i towarem — tę rolę spełnia codzienne podnoszenie cen. Wódka „Smirnoff" drożała w oczach, podczas gdy cena dolara uparcie tkwiła na tym samym poziomie — a więc i import nie powinien być droższy, a cena powinna się trzymać.

Poważne moskiewskie gazety: „*Izwiestija*", „*Siegodnia*", „*Kommiersant-daily*", informują, że działalność ekonomiczna wiąże się w Rosji ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Przeciętny obywatel strzałów i trupów na ulicy raczej nie widzi, ale ekonomiczne morderstwa mniej więcej od dwóch lat stały się zmorą rosyjskiego życia gospodarczego. Ludzie giną często rankiem, przed progiem swego domu, gdy wychodzą do pracy. 7 lutego przed progiem swojej daczy zginął 34-letni Jurij Stupienkow, założyciel i szef profesjonalnej ligi kick-boxingu, posiadacz czarnego pasa w karate.

„*Żona Jurija Stupienkowa* — pisze „Kommiersant-daily" z 9 II 1994 — *opowiedziała naszemu korespondentowi, że była na daczy razem z mężem, małym dzieckiem i ojcem. Około 9 rano usłyszała strzały z automatu, wyszła z domu i ujrzała rannego męża (kilka kul trafiło go w klatkę piersiową i brzuch). Tatiana Stupienkowa, lekarz z zawodu, zrobiła mężowi opatrunek i samochodem odwiozła go do szpitala miejskiego, gdzie wkrótce zmarł*".

W ciągu pierwszych kilkunastu dni lutego, jakie spędziłem w Moskwie pisano jeszcze o innych „ekonomicznych" morderstwach. W Jekaterynburgu zamordowano w jego własnym samochodzie strzałem z bliska właściciela kasyna („*Siegodnia*", 16 II 1994). („*Kommiersant-daily*" (5 II 1994) opisuje inne płatne morderstwo dokonane na dyrektorze wielkiego Domu Wydawniczego „Nowoje Wriemia" SA, Siergieju Dubowie.

„*Szeregowi współpracownicy wydawnictwa «Nowoje wriemia»* — pisze dziennikarz — *twierdzą jednomyślnie, że Dubow zginął w wyniku konfliktów wewnątrz domu wydawniczego. Uważają oni, że zmarły potrafił genialnie opracowywać dochodowe projekty, ale mało wiedział o tym, w jaki sposób są one dalej realizowane. Nadto nie znał się na ludziach i bardzo niestrożnie dobierał kierowników odpowiednich struktur*".

Dodajmy, że Dubow urodził się w roku 1943, w roku 1990 wydał siedmiotomowego Sołżenicyna w nakładzie dwóch milionów egzemplarzy, w rok później jedenastotomowego Remarque'a w nakładzie siedmiuset tysięcy. Nigdy nie należał do partii politycznych. Jak podaje rosyjskie *Who is who?*, największą jego pasją była historia Rosji i innych krajów, czytał również kryminały, lubił przyjaciół, teatr, muzykę i kino... Rosyjskie MSW publicznie twierdzi, że giną tylko ci, którzy zamieszani są w ciemne interesy — chce w ten nieuczciwy sposób wytłumaczyć się z opieszałości i skandalicznej nieskuteczności milicji. Deputowany Wadim Bojko ostrzega w tygodniku „*Litieraturnaja Gazieta*" (16 II 1994), że płatnych morderstw będzie jeszcze więcej, jeśli państwo nie zapewni bezpieczeństwa świadkom. Bojko razem z innymi związanymi z prywatną działalnością deputowanymi założył w Dumie klub „12 grudnia", który będzie nalegał na błyskawiczne uchwalenie aktów ustawodawczych, ochraniających świadków i poszkodowanych.

★

W rosyjskim społeczeństwie „przemysłowy" złodziej i bandyta, dorobiwszy się fortuny, uważany jest za człowieka, który „sobie radzi". Przestarzały rosyjski kodeks karny za terroryzm uznaje „*zabójstwo działacza politycznego lub społecznego, które dokonane jest w celu osłabienia albo obalenia władzy sowieckiej*". Pomijając tej ostatniej już nie ma, „nie ma" także terroryzmu. Mówiąc jednak poważnie, terroryzm polityczny zrodził się właśnie w Rosji. Jego dwa najbardziej spektakularne akty to zabójstwo cara Aleksandra II w 1881 i morderstwo dokonane na wielkim reformatorze Stołypinie w 1911 roku. Jednakże to, co dzieje się teraz, nie ma precedensu. Jest to normalny terroryzm ekonomiczny. W rosyjskiej gospodarce panują takie reguły, jakie rządzą w południowoamerykańskich koncernach narkotykowych. Jeżeli dodamy do tego duszące prywatny biznes podatki, to wiemy już, dlaczego chleb i mleko w Moskwie są tak szalenie drogie. A na dodatek, jak wielu ostrzega, „mafia rwie się do władzy politycznej". Przygotowany przez Analityczne Centrum przy Prezydencie Rosji dokument „Zorganizowana przestępczość i możliwości dojścia do władzy nacjonal-socjalistów" podaje:

„*Wzrost zorganizowanej przestępczości, która zrosła się z organami MSW i lokalnej władzy wykonawczej, zagraża politycznemu i ekonomicznemu rozwojowi Rosji. Wyrasta całe pokolenie, które w trudnych sytuacjach zwraca się nie do oficjalnej władzy, lecz do nieoficjalnej. Ci ludzie prędzej wynajmą mordercę dla ukarania niesolidnego partnera niż zwrócą się do sądu lub arbitrażu*".

JAKIE WNIOSKI?

A jednak moje wnioski nie są tak pesymistyczne, jak by to wynikało z fragmentu o mafii rosyjskiej. Z punktu widzenia Polaka, lepiej wiedzieć niż się łudzić. Z punktu widzenia Rosjanina, różnica między tym, co jest teraz a tym co być powinno (wolny rynek) jest już tylko różnicą ilościową, a nie jakościową. Mafia w końcu istnieje także w śródziemnomorskiej Italii, a sposób na nią jest jeden: silna, dobrze opłacana, a więc nie skorumpowana policja. Wolny rynek nań i demokracja, mimo wszystko zapuściły już w Rosji swe „chwytniki" (bo korzeniami trudno to jeszcze nazwać). Dlatego rozumiem trochę Marietę Czudakową, która w wywiadzie dla „*Siegodnia*" (2 II 1994) mówi: „*Już parę lat żyjemy w wolnym kraju*". A gdy Rosja naprawdę stanie się wolnym krajem, wtedy i Polska na tym skorzysta. Politycy niech się na wszelki wypadek do tego przygotują.

GRZEGORZ PRZEBINDA

For KRZYSZTOF MILLER — GW

Gorące tygodnie w Rosji

Bałagan

ANNA HUSARSKA

Zbliska wszystko wygląda zupełnie inaczej. Niezależnie od tego, ile się przeczytało artykułów (informacyjnych czy publicystycznych) o wydarzeniach w Rosji, po przyjeździe na miejsce każdy musi być wstrząśnięty panującym wokół bałaganem, zaskoczony brakiem jakiejkolwiek logiki w tym kraju, a sam fakt, że życie toczy się dalej, wydaje się cudem.

Ostatnie tygodnie były w Rosji okresem szczególnie gorącym. Starcie pomiędzy prezydentem Jelcynem a parlamentem było tak zajadłe, że niektórzy obawiali się tragedii, pamiętając, że podobne utarczki w październiku ubiegłego roku doprowadziły do ostrzału Białego Domu. A jednak, mimo napiętej sytuacji wewnętrznej, w polityce zagranicznej dyplomacja rosyjska odnosiła sukces za sukcesem. Gdy wiceminister spraw zagranicznych Witalij Czurkin wezwał bośniackich Serbów, by wycofali ciężką artylerię z okolic Sarajewa, tuż przed upłynięciem terminu natowskiego ultimatum (posunięcie to przypomniało światu, że Moskwy nie można zignorować, niezależnie od tego, jak kiepskie są łącza telefoniczne pomiędzy prezydentem Clintonem a prezydentem Jelcynem), rosyjski minister spraw zagranicznych Andriej Kozyriew zaprosił Radovana Karadżicia z przyjacielską wizytą do Moskwy. Na miejscu Rosjanie zdołali go przekonać, by wyraził zgodę na otwarcie lotniska w Tuzli. W oczach moich rosyjskich znajomych było to kolejne genialne posunięcie; uważają oni, że zasługę za powstrzymanie rozlewu krwi w Sarajewie należy w większym stopniu przypisać duetowi Kozyriew–Czurkin, niż drużynie Warrena Christophera (jak tu się czasem określa Departament Stanu).

Przyjechałam do Moskwy w dniu, w którym w USA ujawniono informację o aresztowaniu Aldricha Amesa i jego żony. Wszyscy Rosjanie, z którymi rozmawiałam na temat tej sprawy, byli przekonani, że oświadczenie to było rodzajem kary za posunięcie dyplomacji rosyjskiej w Bośni, że administracja USA pogniewała się na Moskwę za przyćmienie waszyngtońskiego występu. Później, gdy Kongres zażądał, by Rosja pomogła ocenić, „ile szkody" praca Amesów wyrządziła amerykańskiemu wywiadowi, tutaj ludzie byli zdumieni, że Amerykanie okazali się takimi naiwnymi płaksami. Szpieg to szpieg, mówią, i nikt nie powinien oczekiwać, że działalność wywiadowcza ustanie tylko dlatego, że zadeklarowano koniec Zimnej Wojny. Z punktu widzenia rosyjskich służb wywiadowczych aresztowanie Amesów było wpadką, więc zdymisjonowanie przez prezydenta Jelcyna Nikołaja Gałuszki, szefa Federalnej Agencji Kontrwywiadu (uprzednio znanej jako KGB) wydawało się logicznym następstwem. Tu jednak wszyscy sądzą, że Gałuszko został zwolniony dlatego, że dopuścił do realizacji uchwały o amnestii przyjętej 23 lutego przez Dumę.

Ta sprawa również nie jest prosta. Uchwalona przez rosyjską Dumę „amnestia" stosowała się m.in. do osób oczekujących na proces, łącznie z ludźmi zaangażowanymi w pucz z sierpnia 1991 roku, mającym zamieszki w zeszłym roku i październikową rebelię parlamentarną. Tymczasem według rosyjskiego kodeksu karnego oskarżony pódlega amnestii, dopiero gdy zostanie uznany za winnego. Tym, którzy jeszcze nie zostali osądzeni, przysługuje prawo łaski, które należy jednak do przywilejów prezydenta.

A choć Jelcyn do tej pory powtarza, że amnestia była bezprawna i sprzeczna z konstytucją, przez trzy dni dzielące głosowanie w Dumie od uwolnienia jego przeciwników z więzienia w Lefortowie nie zrobił praktycznie nic, aby do tego nie dopuścić. Według artykułu w „Izwiestiach" napisanego przez członkinię Rady Prezydenckiej Allę Jaroszynskają, redaktorka oficjalnego organu parlamentarnego „Rossijskaja Gazieta", Natalla Polizajewa, czekała dwa dni z opublikowaniem rezolucji amnestyjnej (rezolucja staje się wiążąca dopiero po wydrukowaniu w dzienniku podawczym), gdyż nie otrzymała niezbędnych do tego poleceń, lecz to 48-godzinne opóźnienie zostało całkowicie zmarnowane przez tych, w których interesie było zapobieżenie amnestii. Najzutrz po głosowaniu w Dumie prezydent Jelcyn wygłosił mowę o stanie państwa na forum wspólnego posiedzenia parlamentu, lecz o amnestii nawet nie wspomniał. A ponieważ nadal nie obsadził jeszcze nowego Trybunału Konstytucyjnego, tam również nie mógł wystąpić z ewentualną skargą. Prokurator generalny Aleksiej Kazannik powiedział, że został zaproszony na spotkanie na Kremlu, aby omówić metody uniemożliwienia przeprowadzenia amnestii, ale ponieważ nie potrafił znaleźć sposobu zgodnego z prawem, podał się do dymisji, a rozkaz zwolnienia z więzienia podpisał jego zastępca. Próby powstrzymania amnestii przez przedstawicieli Jelcyna miały miejsce nie za pięć dwunasta, lecz mówi przysłowie, lecz pięć po dwunastej. Doradca prezydencki Georgi Satarow, który o planach opublikowania decyzji Dumy w „Rossijskoj Gazietie" dowiedział się poprzedniego wieczoru, z telewizji, rozmowy z marszałkiem Dumy Iwanem Rybkinem na temat odwrócenia sytuacji rozpoczął po południu w sobotę 26 lutego, podczas gdy ponad godzinę wcześniej Ruslan Chasbułatow, jako pierwszy z przywódców październikowych, wyszedł na wolność z więzienia w Lefortowie.

Jakby jeszcze było mało, we wtorek 1 marca Sąd Najwyższy postanowił umorzyć trwający od 10 miesięcy proces przeciwko dwunastu urzędnikom sowieckim, którzy w sierpniu 1991 roku podjęli nieudaną próbę zamachu stanu przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi. Oskarżeni, na których ciążył zarzut zdrady stanu (pociągający za sobą karę śmierci) zostali zwolnieni z więzienia, jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Co więcej, pozwolono im startować w grudniowych wyborach parlamentarnych i dwóch spośród nich — Anatolij Lukianow i Wasilij Starodubcew — zyskało mandaty poselskie (choć nie otrzymali immunitetów). Zamiast pospiesznego umorzenia procesu, sędziowie Sądu Najwyższego mogli go dokończyć, wydać werdykt, a następnie udzielić skazanym amnestii. Takie rozwiązanie byłoby przynajmniej częściowym zadośćuczynieniem wobec rodzin tych, którzy zginęli na barykadach wokół moskiewskiego Białego Domu, pospieszywszy tam w obronie demokracji. Teraz szanse, że puczyści zostaną kiedykolwiek ukarani, zostały bezpowrotnie stracone.

Cała sprawa z amnestią była poważnym ciosem dla prezydenta Jelcyna. Po pierwsze jego najbardziej zagorzali wrogowie znajdują się obecnie na wolności, a były wiceprezydent Aleksander Ruckoj — który wraz z Chasbułatowem stał na czele parlamentarnej rebelii — wystąpił z zamiarem ubiegania się o fotel prezydencki w następnych wyborach, po drugie poczynania Jelcyna wykazały jego bezsilność w starciu z parlamentem, po trzecie sprawiedliwości nie stało się zadość i teraz jest już wątpliwe, czy następnym razem Rosjanie wylegną na ulice, aby poprzeć Jelcyna, i wreszcie po czwarte, ultranacjonalista Żyrynowski znów skorzystał z okazji, by przypisać sobie wyłączną zasługę za przeprowadzenie amnestii. Tym razem częściowo ma słuszność, choć jest to zasługa tylko w jego mniemaniu.

ANNA HUSARSKA
(Moskwa)

Tłum. z angielskiego TOMASZ BIERON